

Kraków
07-10-2013
DZ. / Nr 234

Do Damiana

Strindberg po tuningu

KONTRKULTURA

RAFAŁ STANOWSKI

Na ten spektakl czekaliśmy, od kiedy Jan Kłata objął stanowisko dyrektora Starego Teatru. To pierwsza jego realizacja w Krakowie, jakiej dokonał z pozycji człowieka, który rozdaje karty na narodowej scenie. Czy obejrzelśmy teatralne wejście smoka?

Zaczyna się od sugestywnego „I don't belong here”, „ja tu nie przynależę”. To oczywiście aluzja do bohatera tekstu autorstwa Augusta Strindberga, wykluczonego artysty, który tu przybiera postać Idola. Ale też od razu zastanawiamy się, na ile w tych słowach może kryć się wyznanie samego reżysera, Jana Kłaty. Wszak też jest człowiekiem z zewnątrz, z innego świata, który w krakowski miąższ teatralny dopiero się wgłębia.

On i ona. Marcin Czarnik i Justyna Wasilewska. Oboje to nowe nabytki Starego, sprowadzeni właśnie przez Kłatę. A zatem do pierwszej bitwy reżyser desygnuje zaufaną gwardię. I nie myli się, oboje posiadają charyzmę. Zwłaszcza Wasilewska, która porusza się bez fałszu po szerokiej skali emocji. Potrafi uwodzić, chwycić za serce, ale bez nadmiernego podkreślenia emocji. Jest po skandy-

nawsku oszczędna w stosowaniu aktorskich środków. W tym minimalizmie kryje się zarazem ogromna siła, która sprawia, że grana przez aktorkę postać zostaje w pamięci – najbardziej ze wszystkich. Stary będzie miał z niej jeszcze pociechę.

Czarnik buduje swojego bohatera na kontraście, to Idol szarpany przez własne ego, co aktor podkreśla ekstrawertyczną gestykulacją. Często porusza rękami, to wkłada, to zdejmuje ciemne okulary, przeczesuje włosy. Gra postać tyle intrygującą co irytującą, popada bowiem w lekką przesadę, kreując charakter na granicy hysterii. Ta koncepcja na scenie okazuje się spójna, ale trzeba przyznać, że z trudem w tę postać się wgryzamy, a jej los przechodzi obok zaciekawienia. To bardziej „one man show” Czarnika, popis jego emploi, niż dialog z publicznością.

Słowo show jest synonimem tego spektaklu. Kłata otwiera przed nami szafę pełną efekciarskich pomysłów. Główny bohater wjeżdża na scenę na czerwonym rowerze typu chopper, lśniącem od chromowanych części. Scenografię stanowią klatki z tysiącami czaszek – piętrzą się od dołu po sufit, przypominając widzom, że oglądają spektakl, który mówi o osta-

teczności. Reżyser każe nawet aktorom wspinać się po tym „rusztowaniu”, i to całkiem wysoko. Co chwilę rozbrzmiewa muzyka, a z głośników słyszymy brzmienia zaczerpnięte z popkultury, na czele z hitami Nirwany czy Army of Lovers.

Kłata z Sebastianem Majewskim (adaptacja, przepisanie, dramaturgia) wiodą nas na artystyczne pokuszenie, a zarazem wciągają w intertekstualną rozgrywkę na pograniczu teatru i spektaklu dźwiękowego.

Trzeba przyznać, że potrafią zrobić wrażenie. Koncepcja wizualno-dźwiękowa spektaklu uwodzi, zwłaszcza widza, który – tak jak ja – jest mocno zakorzeniony w kinowych czy multimedialnych środkach wyrazu. Buduje odrealniony, surrealny klimat, który sugestywnie działa na wyobraźnię.

Pytanie jednak, co za tą niezwykle efektowną kotarą się kryje? Kłata z Majewskim mocno spreparowali sztukę Szweda. W tekście co chwilę pobrzmiwają współczesne słowa, przypominając, że przez Strindberga mówi się o tu i teraz. Bywa to nawet zabawne. Ale ogólnie czujemy się, jakbyśmy trafili do mauzoleum, które poddało tuningowi, montując kilka efektownych gadżetów.